



STOLICA

WARSZAWSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

ROK IX

NR 50 (364)



W NISZY ODBUDOWANEJ KAMIENICZKI PRZY ULICY FRETA 32 USTAWIONO POSĄG DIANY.

Fot. E. Kupiecki

W A R S Z A W A
12 GRUDNIA 1954 R.
CENA 1 ZŁOTY 10 GR.



Ogólny widok Warszawy, oglądanej z Pragi, na przelomie XIX i XX stuleci, gdy oba brzegi Wisły łączył u centrum tylko most Kierbedzia.

DEMONSTRACJA PROLETARIATU WARSZAWY

PRZECIWKO WOJNIE IMPERIALISTYCZNEJ PRZED 50 LATY



W dniu 10 lutego 1904 r. na pierwszych stronicach warszawskich gazet pojawiły się grubymi czcionkami drukowane wiadomości, które zelektryzowały ludność Warszawy. „Wybuch wojny rosyjsko-japońskiej!”, „Wojna na Dalekim Wschodzie!”, „Niespodziewany napad floty japońskiej na eskadrę rosyjską w Port

Arturze!” — krzyczały nagłówki dzienników.

Wojna była wynikiem sporu, jaki rozwijał się od dłuższego czasu między Rosją carską a Japonią o wpływy na Dalekim Wschodzie. Obydwaj imperialistyczni drapieżcy dążyli do zagarnięcia Mandżurii i Korei. Wybuch wojny na Dalekim Wschodzie był jeszcze jednym dowodem, że imperializm, w który przeradzał się wówczas system kapitalistyczny, niesie ludzkości coraz cięższe nieszczęścia i kataklizmy.

Rząd carski dążąc do wojny sądził, że zwycięska wojna wzmocni jego despotyczne panowanie nad ludem rosyjskim i narodami ujarzmionymi i zażegna narastającą z niepowstrzymaną siłą burzę rewolucyjną. Masy ludowe Rosji nie chciały wojny, wieść o jej wybuchu przyjęły z oburzeniem. Oburzenie to pogłębiły wiadomości, nadchodzące z pól bitew. Żle uzbrojona, kierowana przez nieudolnych, zdradzieckich generałów armia carska ponosi jedną klęskę po drugiej. Klęski caratu pogłębiały wrzenie rewolucyjne w kraju. Mnożyły się demonstracje i strajki. Okrzyki „precz z wojną!” „precz z caratem!” rozbrzmiewały rozgłośnym echem we wszystkich prowincjach rozległego imperium carów. Bolszewicy z Leninem na czele wzywali nieustannie proletariatu rosyjski do czynu rewolucyjnego.

Wrzenie rewolucyjne ogarnęło również ziemie polskie, ujarzmione przez carat. Proletariat polski za przykładem proletariatu rosyjskiego szycował się do generalnego szturmu na carat. Rok 1904 — to rok wstępnych bojów rewolucyjnych, które poprzedziły wybuch rewolucji 1905 r. Warszawa, wielkie skupisko proletariatu polskiego, przodowała w tych walkach przedrewolucyjnych. Hasłami, wypisanymi na sztandarach rewolucyjnych, pod którymi skupiały się coraz większe

masy proletariatu, były wówczas najczęściej wezwania do walki z wojną imperialistyczną. Niosła je w masy polskiego proletariatu Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy.

„Robotnicy! — czytamy w jednej z odezw SDKPiL, wydanej w lutym 1904 r. — Ta wojna na Dalekim Wschodzie może być grobem absolutyzmu carskiego i początkiem wolności politycznej, początkiem wyzwolenia klasy robotniczej z krwawych szponów rządu carskiego. Od Was to zależy! Rząd carski w wojnie tej stanął nad brzegiem przepaści — strąćmy go w przepaść! Już Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Rosji powstaje przeciw tej wojnie i przeciw caratowi... Razem z robotnikami całej Rosji, we wspólnej walce, z jednakim celem powstańmy przeciw dzikiemu rządowi, a rząd ten nie przeżyje wojny, którą lekkomyślnie wywołał!”

Odezwa kończyła się słowami: „Precz z wojną! Precz z rządem carskim! Niech żyje wolność! Niech żyje socjalizm!”

Partia organizowała, poczynając od lutego 1904 r. liczne demonstracje uliczne przeciwko caratowi i toczzonej przez niego wojnie imperialistycznej. Największa z tych demonstracji odbyła się w dniu 21 października 1904 r. na ulicy Wroniej i Niskiej, jako protest proletariatu Warszawy przeciwko zarządzanej przez carat mobilizacji. Demonstrację naznaczono na godzinę 16, na ulicy Wroniej. Na krótko przed tą godziną ulica Wronia zaczęła zapełniać się nadciągającymi ze wszystkich dzielnic miasta robotnikami. Kierownicy demonstracji szybko się jednak zorientowali, że władze carskie powiadomione zostały o miejscu i czasie demonstracji. W bramach domów przy ulicy Wroniej oraz w browarze „Salwator” przy ul. Grzybowskiej dostrzeżono silne oddziały żandarmerii konnej i pieszej. W tej sytuacji kierownictwo, nie chcąc dopuścić do nierównej walki, postanowiło przenieść demonstrację na ul. Niską. Robotnicy, powiadomieni przez agitatorów, zaczęli przechodzić grupkami na ulicę Niską, tłukąc po dżdżach różnokolorowe latarki, wywieszając przed domami z powodu galówki dworskiej. Dochodziło do nieustannych drobnych starć robotników z żandarmerią.



Plac Teatralny, miejsce wielu demonstracji politycznych, tak wyglądał w początkach XX wieku, gdy kursowały jeszcze konne tramwaje.

Tymczasem na ulicy Niskiej zebrały się tłumy robotników. „Rozpoczął się pochód demonstracyjny od rogu ulicy Smoczej — podaje „Czerwony Sztandar” — „szli do ulicy Dzikiej z podniesionym sztandarem, a na przodzie towarzyszyki nosły szarfy czerwone z napisami: „Chleba i pracy!”, „Wojna rządowi carskiemu!”, na sztandarze napisy: „Precz z mobilizacją!”, „Wojna wojnie!” Niech żyje socjalizm!”.

Pochód przeszedł ulicą Niską, skręcił w Dziką i doszedł do rogu ulicy Gęszej, skupiając około 5000 demonstrantów. Do pochodu dołączyła się grupa żołnierzy rosyjskich, którzy na „skierowane do nich w rosyjskim języku okrzyki naszych towarzyszy: „Precz z samowładztwem!” odpowiadali „Dołoj!”. Kilku stójkowych rosyjskich, którzy spotkali pochód na Dzikiej, widząc nieprzebrane tłumy zdążające ulicą wśród okrzyków i śpiewów, nie tylko, że nie odważyli się zaatakować demonstrantów, lecz wystraszeni zdjęli czapki i stali w niemym osłupieniu. Na rogu ulic Dzikiej i Gęszej po odśpiewaniu

„Czerwonego Sztandaru” i „Warszawianki” demonstranci rozeszli się, zanim żandarmeria carska przycwalaowała na miejsce.

Ta antywojenna demonstracja, stanowiąca jedno z największych wystąpień rewolucyjnych proletariatu Warszawy w 1904 r., przyczyniła się w najmniejszym stopniu, niż bohaterska obrona drukarni SDKPiL przez Marcina Kasprzaka w kwietniu tegoż roku, niż potężna demonstracja Pierwszomajowa w sierpniu 1904 r. — do spotęgowania nastrojów rewolucyjnych, przygotowując grunt do wielkich bitew rewolucyjnych 1905 r.

Demonstracja w dniu 21 października, podobnie jak inne demonstracje antywojenne, zorganizowane przez SDKPiL na ulicach Warszawy w 1904 r., zapoczątkowała ponadto tradycje walki proletariatu polskiego przeciwko wojnie imperialistycznej, tradycje, które dziś gdy tocymy walkę o zapobieżenie nowej wojnie imperialistycznej — są dla nas szczególnie cenne.

Henryk Mościcki



Warszawskie typy sprzed 50 lat, podpatrzone przez Konstantego Gerskiego. Pokątnie handlujący, dzieci poza szkołą, rękodzielnicy...



A oto scenka z „porządnej” ulicy: zziębnięty gazeciarski, posłaniec, student w mundurze i nauczycielka, zamożni „państwo” w futrach...

PRZED OGÓLNOPOLSKĄ WYSTAWĄ ARCHITEKTURY WNĘTRZ



Z końcem roku 1955 otwarta zostanie w Warszawie Ogólnopolska Wystawa Architektury Wnętrz. Mimo, że na jej otwarcie poczekamy jeszcze rok, prace organizacyjne wystawy prowadzone są w pełni już od kilku miesięcy.

Początkowo program wystawy pomyślany był dość skromnie. Ministerstwo Kultury i Sztuki wraz ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków planowało urządzenie drugiej Wystawy Architektury Wnętrz i Sztuk Dekoracyjnych na wzór wystawy w „Zachęcie” w roku 1952. Ale już na pierwszej konferencji, poświęconej tej sprawie, stało się jasne, że urządzenie „salonu” mebli i tkanin zagadnienia nie rozwiąże. Ze czas najwyższy, aby problem wnętrza mieszkalnego i wnętrza o charakterze społecznym postawić na szerszej płaszczyźnie. Uznano poza tym za rzecz konieczną, aby wystawa stała się nie tylko przeglądem prac już wykonanych i stosowanych w praktyce: winna też ona pokazać możliwości polskich artystów plastyków i architektów, polskiego przemysłu i rzemiosła, w oparciu o konkretną bazę materiałową i produkcyjną.

Zainteresowano tym zagadnieniem wiele instytucji, które czynnie włączyły się w realizację wystawy. Obecnie komitet organizacyjny wystawy tworzą, obok Ministerstwa Kultury i Sztuki, Związku Polskich Artystów Plastyków i SARP-u, resorty gospodarcze odpowiedzialne za produkcję mebli, ceramiki, tkanin itd., jak Ministerstwo Materiałów Budowlanych, Ministerstwo Przemysłu Lekkiego, Ministerstwo Przemysłu Papierniczego i Drzewnego, Ministerstwo Przemysłu Drobno- i Rzemiosła oraz instytuty naukowe, jak Instytut Budownictwa Mieszkaniowego, Instytut Wzornictwa Przemysłowego, Instytut Urbanistyki i Architektury itd.

Celem Wystawy jest postawienie w skali ogólnopolskiej problemów współczesnej architektury wnętrza i jak najlepsze zaspokojenie potrzeb całego społeczeństwa. Przedmiotem wystawy będą konkretne, w pełni wyposażone wnętrza oraz pojedyncze eksponaty, wchodzące w zakres przedmiotów użytkowych i dekoracyjnych: drzewo, ceramika, szkło, metaloplastyka, masy plastyczne, tkanina, włókno sztuczne itd.

Wystawa, która zobrazuje właściwe rozwiązanie przestrzenne wnętrza oraz ich funkcjonalność i estetykę, ma za zadanie pokazywanie właściwych form, odpowiadających nowym potrzebom spo-



Sklep „Ładu” przy N. Świecie jest jakby stałą wystawą sprzętów, tkanin, przedmiotów dekoracyjnych.
Fot. Janusz Smogorzewski

lecznych. Wystawa ma też dać materiały do szerokiej dyskusji, nie tylko wśród fachowców. Ma ona zwrócić uwagę na poważne znaczenie twórczości plastycznej, związanej z życiem codziennym, i jej roli w podnoszeniu kultury społeczeństwa.

Prace przedstawione na Wystawie będą na pewno szeroko wykorzystane przez przemysł i rzemiosło. Uczestników Wystawy zobowiązano do projektowania w ramach obowiązujących standardów budowlanych i metrażu mieszkaniowego. Podjęte zostaną również próby nowych rozwiązań architektonicznych, w porównaniu o postęp techniczny i stałą poprawę warunków mieszkaniowych. Przewiduje się także zgłoszenie na wystawę projektów, uwzględniających specyfikę zawodu użytkownika wnętrza (np. mieszkanie dla ucznia, malarza, literata itp.).

Dla umożliwienia projektantom przygotowania odpowiednich projektów i eksponatów, organizatorzy wystawy uzgodnili z przemysłem ich wykonanie. I tak np. przemysł meblarski wykona 9 kompletów mebli do końca lipca 1955 roku, CPLiA — 5 kompletów, Ład — 5 kompletów. Z okazji Wystawy zorganizowano

parę konkursów: na meble, na tkaniny i inne.

Wystawy okręgowe Architektury Wnętrz i Sztuk Dekoracyjnych, urządzone w 1954 — 1955, potraktowano jako eliminacje wstępne, które pozwolą na wyciągnięcie z terenowych środowisk artystycznych najlepszych prac i pomysłów dla zademonstrowania ich na wystawie ogólnopolskiej.

Już na podstawie tych pobieżnych informacji o Wystawie możemy stwierdzić, że stanie się ona ważnym wydarzeniem, nie tylko artystycznej natury. Ścisły związek sztuki z życiem i potrzebami społeczeństwa jest może najbardziej konieczny w tej właśnie dziedzinie.

Tymczasem musimy stwierdzić, że zbyt słabo wykorzystane są możliwości i talent naszych twórców w zagospodarowaniu setek tysięcy nowozbudowanych izb mieszkalnych, świetlic, stolówek. Przyczyny nie zawsze leżą w trudnościach produkcyjnych czy ekonomicznych. Polegają one głównie na braku koordynacji licznych resortów i instytucji, którym ta sprawa winna leżeć na sercu. Zbyt często uważa się, że estetyczny wygląd dotyczy tylko przedmiotów dro-

gich. Piękno traktuje się jako zbytek. Wiele wyrobów naszego przemysłu i rzemiosła zadaje kłopot takiemu twierdzeniu. Coraz częściej spotkać można w naszych sklepach przedmioty proste, niedrogi, celowo i estetycznie zaprojektowane i wykonane.

Dla poprawienia poziomu estetycznego wnętrza obok Wystawy konieczne jest szerokie poradnictwo, które by pomogło osobom, nie posiadającym w tym kierunku przygotowania, dokonać właściwego wyboru sprzętów czy przedmiotów dekoracyjnych. Zbyt często widzimy w nowych mieszkaniach okropne graty, dobierane bez gustu, zastawiające każdy wolny kąt mieszkania. Najgorsze, że wiele z tych gratów wyprodukował przemysł już w Polsce Ludowej.

Ścisłe powiązanie spraw artystycznych i ekonomicznych, podnoszenie estetycznych wymogów społeczeństwa, planowa organizacja poszukiwań w dziedzinie materiałów, technologii i wzornictwa — mogą stanąć ten radykalnie zmienić. Oczekujemy, że Ogólnopolska Wystawa Architektury Wnętrz przyczyni się choć w części do realizacji tych zadań.

M. M.



Rzeźba „Przekupka”. dobrze wkomponowana w teren.
Fot. Waleria Krzyżanowska

O STAREJ I NOWEJ RZEZBIE

(Artykuł dyskusyjny)



Rzeźbie w architekturze warszawskiej mówiono wiele. W każdym razie, jak dotychczas, nie wprowadzono z tego na tyle konkretnych wniosków, aby sprawa nowych realizacji rzeźbiarskich mogła posuwać się naprzód.

W moim przekonaniu podjęcie walki o to, aby uzyskać rezultaty dobre, jest zupełnie możliwe. Obserwujemy bowiem prawidłowe, dobre, a nawet bardzo dobre rekonstrukcje rzeźbiarskie. I to nie tylko rekonstrukcje w ścisłym znaczeniu, to znaczy oparte na dokładnej, historycznej dokumentacji, ale i rzeczy projektowane na nowo jedynie w oparciu o historyczne motywy i przeznaczone dla budowli użytkowych. Stąd wniosek, że są ręce, które potrafią wykonać dobrą rzeźbiarską robotę. (Jeden z pozytywnych przykładów zamieściliśmy na okładce w tym numerze „Stolicy”).

Wśród rzeźb nowoprojektowanych a przeznaczonych do nowych budowli mamy natomiast wiele rzeczy słabych lub wręcz złych. Stąd można wysnuć wniosek, że główna trudność polega na projektowaniu.

Wiadomo, że projektowanie jest rzeczą niełatwą, ale historia, kilkusetletnia tradycja łączenia rzeźby i architektury w jednym dziele — może być w tej sprawie doskonalą i jedyną pomocą.

Wiemy przecież, że w architekturze antycznej i klasycznej nie traktowano rzeźby jako motywu wyłącznie dekoracyjnego, lecz przede wszystkim jako element konstrukcyjny o rzeźbiarskiej formie i określonej treści. Dlatego też każdy taki element miał tam swoje uzasadnienie i podlegał takim prawom, jak inne elementy architektoniczne.

Rzeźba w architekturze nie może nie stanowić z nią, i to pod każdym względem, integralnej całości.

Jeśli patrzemy na budynek wystrojony rzeźbą to wydaje się nam, że jest to sztuka niczym nie skrepowana, pełna swobody i polotu. Takie jest wrażenie, ale wynika ono z oparcia rzeźby o wiele warunków, którym musi się podporządkować. Rzeczą rzeźbiarza jest stworzyć dzieło w wyrazie takiej swobody, jakby nie było ono niczym skrepowane.

Takie właśnie wrażenie odnosimy, patrząc na świetne rekonstrukcje rzeźbiarskie b. pałacu Ostrogskich czy Branickich na Miodowej. Ale wrażenia takiego nie odnosimy, patrząc na nowe realizacje rzeźbiarskie przy kinie „Praha” czy na MDM. Co to znaczy? Najprościej, oczywiście, jest zwać winę na rzeźbiarzy. Lecz w rzeczywistości przynajmniej połowę winy ponoszą za to architekci, którzy podyktowali rzeźbiarzom podstawowe warunki dla ich pracy. Spełnienie tych warunków dało złe rezultaty. Reszty tego nieszczęścia dopełniły niskie niekiedy walory artystyczne dzieł rzeźbiarskich, co należy zapisać już wyłącznie na konto ich twórców.

W wypadku MDM rzeźby przy domach są prawidłowo nawet umiejscowione w partiach cokółowych mocno wysuniętych ryzalitów, lecz ich rozmiary są o wiele za duże. Potraktowanie ich jako rzeźb prawie pełnych, mocno wypukłych, spotęgowało ich masowność. Do rzeźb tych, umieszczonych tak nisko, siłą rzeczy każdy przykładą skalę ludzką. A człowiek czuje się przy nich, jak Guliwer wśród olbrzymów.

Do wywołania tego przykrego wrażenia przytłaczającej siły przyczyniło się niewątpliwie w dużej mierze ich rzeźbiarskie opracowanie. Opracowanie zbyt upraszczone, zbyt dekoracyjne. Jak na rzeźby, umieszczone w tak bliskim sąsiedztwie przechodzących ulicą ludzi. Resztą czynników, które składają się na ogólne wrażenie, można już pozostawić każdemu do jego subiektywnej oceny. Ale

nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać nikogo, kto odczuwałby sympatię do tych herod-bab, mających wyrażać miłość macierzyńską czy troskliwość opiekuńczą, do ponurych i tępych postaci górnika, hutnika lub zdeterminowanego kolejarza.

Grupy rzeźbiarskie, wieńczące budynek przy ul. Pięknej, są bez porównania lepsze. Są to kompozycje o charakterze monumentalnym, lecz nacechowane swobodą żywego ruchu i patetycznym wyrazem, który odpowiada ich alegorycznej treści. Ich rozmieszczenie na attyce wydaje się prawidłowe: wielkość natomiast w stosunku do budynku, jak zwykle, przesadna. Jest to błąd powszechnie niemal spotykany, bo architektowi wydaje się, że uzyska przez to większą siłę monumentalnego wyrazu. A przecież monumentalność i wielkość — to dwie różne rzeczy. O wielkości decydują tylko rozmiary, o monumentalności — proporcje.

W rejonie placu Konstytucji znajduje się jeszcze kilka płaskorzeźb o charakterze czysto dekoracyjnym, które jednak w kompozycji architektonicznej nie grają większej roli.

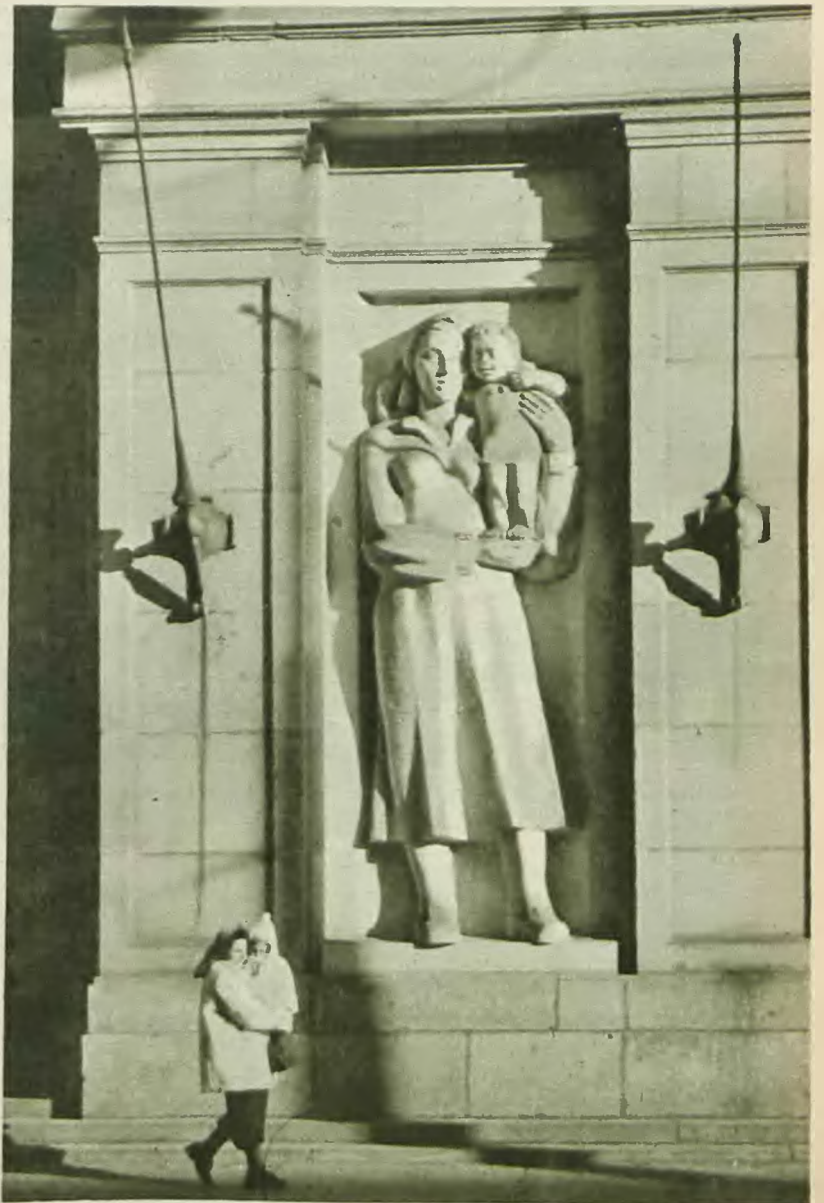
Poza tym niewiele już znajdziemy w Warszawie nowych realizacji rzeźbiarskich o donioślejszej roli, służących jako temat do tego rodzaju rozważań. Pragnę jednak wymienić dwa charakterystyczne i od dawna znane przykłady, tj. „Przekupkę” na Mariensztacie i płaskorzeźby na elewacji kina „Praha”.

„Przekupka” jest rzeźbą wolnostojącą. Pomijając jej przeciętne walory plastyczne, muszę przyznać, że ma ona wiele cech pokrewnych z formą architektoniczną sąsiadujących z nią budynków, jest prawidłowa w skali ludzkiej i architektonicznej, wkomponowana w teren w sposób przemyślany i szczęśliwy.

Nie mogę jednak tego powiedzieć o rzeźbach na budynku kina „Praha”. Zostały one tam wkomponowane bez uzasadnienia i w sposób schematyczny powtarzają monotony rytm okien i podziałów elewacji. Naprawdę byłoby rzeczą niezmiernie trudną udokumentować potrzebę umieszczenia tam właśnie rzeźb, tak wielkich i o takiej treści, wówczas gdy wiadomo, że lepszą rolę dekoracyjną spełniłby tam motyw dekoracyjny, nie koniecznie figuralny.

Główne zło naszej nowej rzeźby architektonicznej polega, moim zdaniem, na tym, że architekci nie zawsze właściwie ją w budynkach projektują, a rzeźbiarze nie mogą jeszcze przenieść środków formalnych naszej najlepszej tradycji plastycznej na dzieła o nowej treści społecznej. Dlatego pewnie wszystkie rekonstrukcje o treści alegorycznej czy mitologicznej, a także i nowe rzeźby, przedstawiające „lato” czy „jesień” lub „sławę” czy „sprawiedliwość” — są raczej dobre, a rzeźby przedstawiające górnika, murarza itp. — są raczej złe.

R.



...Do rzeźb tych siłą rzeczy każdy przykładą skalę ludzką...
Fot. Edmund Kupiecki



Światło zielone! Tramwaj z alei Jerozolimskich ma prawo skręcić na Marszałkowską, ale co teraz poczyna ludzie, przechodzący jezdnię?

Czytelnicy O BOLAŁKACH KOMUNIKACYJNYCH

Nasza dyskusja na temat warszawskiej komunikacji nabrała szerokiego rozgłosu. Odzywają się coraz nowe ośrodki, instytucje, ludzie — nie tylko z terenu Warszawy, ale i z innych miast. Dowód to, jak ważna jest ta sprawa i jak żywo interesuje się nią społeczeństwo, patrzące okiem troskliwego gospodarza na odbudowywaną stolicę, odczuwające boleśnie każdą usterkę i pragnące ją szybko, sensownie, „po gospodarsku“ naprawić.

W dotychczasowej dyskusji mówiło się najwięcej o technicznej stronie warszawskiej komunikacji, a więc o trasach, szerokości

jezdni, znakowania, wysepkach, przystankach itp., wreszcie o zapleczu trakcji samochodowej. I w dalszym ciągu napływają do Redakcji korespondencje od ludzi, którym te sprawy leżą na sercu i pragnęliby znaleźć, doradzić najlepsze wyjście z sytuacji.

Np. z Bydgoszczy od mgr inż. Grzegorza Luniewskiego otrzymaliśmy list z konkretnym projektem rozwiązania przejść pieszych na najruchliwszych skrzyżowaniach szerokich ulic. Dotyczy to przede wszystkim skrzyżowania ul. Marszałkowskiej z al. Jerozolimskimi.

Czerwone światło, zatrzymujące ruch wzdłuż Marszałkowskiej i

przepuszczające pojazdy i przechodniów wzdłuż al. Jerozolimskich, nie zatrzymuje wozów, skręcających w prawo. Rezultat jest taki, że fala ludzi, przechodząca jezdnię na Marszałkowskiej, rozbijana jest raz po raz przez nadjeżdżający samochód. Jasne, że w tej sytuacji nie trudno o wypadek.

Mgr inż. Luniewski pisze: „Trudności te rozwiąże stworzenie przejścia dla pieszych w innym poziomie, a więc pod albo nad ulicą. Jeśli chodzi o skrzyżowanie np. ul. Marszałkowskiej z al. Jerozolimskimi, nie można zrobić przepustu dołem ze względu na tunel linii średnicowej, ale można by na 4 rogach skrzyżowania przerzucić 4 lekkie mosty, dostosowane architektonicznie do stylu otoczenia...“

„Pragnę podkreślić — dodaje autor listu — że tego rodzaju rozwiązanie byłoby nowością na terenie miast europejskich“.

Niejedno jest jeszcze na pewno do powiedzenia na temat techniki poruszania się po ulicach Warszawy. Na razie porzucmy jednak te sprawy i przyjrzyjmy się zagadnieniom komunikacyjnym od innej jeszcze strony.

Wszyscy wiemy, jak bardzo przeciążony jest warszawski tabor, i osobowy, i towarowy. Czy wynika to tylko z wężej za małej ilości taboru? — Nie! Przyczyny należy poszukać jeszcze gdzie indziej. Tkwi ona mianowicie w zbyt dużych odległościach między miejscem zamieszkania a miejscem pracy (w ruchu osobowym) oraz między miejscem składowania a odbiorcą (w ruchu towarowym). Stąd te istne „wędrowniki ludów“ w godzinach porannych i popołudniowych, stąd zażarte walki o miejsce w tramwaju i autobusie i

wynikające z tego nieszczęśliwe wypadki — nie mówiąc już o zmęczeniu i niepotrzebnej stracie czasu.

Zagadnienie to porusza w nadesłanej do Redakcji korespondencji ob. Władysław Jazgar z Olsztyna. Zastanawiając się nad przyczynami przeciążenia warszawskiego taboru osobowego — odnajduje je również w polityce władz kwaterekowych.

„Po pierwsze — pisze nasz korespondent — komisja rozdziału mieszkań, budowanych przez ZOR, nie kieruje się względami zbliżenia pracownika do miejsca pracy, lecz bliżej nieokreślonym systemem, zbliżonym do loterii fantowej. Bo tak jedynie można sobie wytłumaczyć fakt, że ludzie pracujący np. na ulicy Podskarbińskiej otrzymują mieszkania na Ochocie, a pracujący na Mokotowie — otrzymują na Grochowie.“

Drugą przyczyną zwiększenia ilości pasażerów na liniach komunikacji miejskiej jest niezrozumiała polityka personalna takich przedsiębiorstw, jak: WSS, MHD, WZG, w których bodajże za zasadę przyjęto przydzielanie miejsca pracy w innej dzielnicy, aniżeli mieszka pracownik. Należy wziąć pod uwagę, że przedsiębiorstwa te posiadają łącznie kilkanaście tysięcy pracowników“.

Uwagi te trafiają w istotę rzeczy, niemniej ważne, jak techniczne usprawnienia komunikacyjne. A więc nie tylko od urbanistów i architektów, nie tylko od miejskich przedsiębiorstw komunikacyjnych i speców od transportu oczekujemy leków na warszawskie bólałki. Winny się nad tym również zastanowić właściwe instancje przydziału mieszkań i pracy. J. St.

WSZYSTKO JEST WAŻNE



Trudno rozstrzygnąć, którym spośród spraw, załatwianych przez Komitet Blokowy nr 61 przy ul. Brackiej 2 — dać pierwszeństwo. Fot. Edmund Kupiecki

Turkot maszyny do szycia zagłusza rozmowę. Kilka kobiecych głów pochyla się nad stołem, na którym leżą jakieś tkaniny. W pewnym momencie otwierają się drzwi i do wewnątrz wchodzi kilka osób. Maszyna milknie, miejsce białej tkaniny na stole zastępuje teczka z papierami.

— Chciałabym prosić o zaświadczenie, stwierdzające mój stan majątkowy. Jest mi to potrzebne do wniosku o przydzielenie stypendium.

Gdzie się to wszystko odbywa? Cóż to za lokal, w którym szyje się na maszynie i załatwia sprawy urzędowe?

Rzeczywiście, pora to wszystko wyjaśnić. Otóż jesteśmy w świetlicy Komitetu Blokowego nr 61, mieszczącej się przy ul. Brackiej 1. Jest wieczór i właśnie członkowie Komitetu rozpoczęli swoje zwykłe urzędowanie.

— No dobrze — zapytają Czytelnicy — ale co ma wspólnego z tym maszyna do szycia?

Maszyna, o której mowa, wraz z drugą — elektryczną, czekającą na uzupełnienie instalacji — to sprzęt Koła Ligi Kobiet, które zorganizowało bezpłatny kurs kroju i szycia. Kurs ten liczy obecnie 18 uczennic — i wraz z Komitetem Blokowym mieści się w lokalu świetlicy.

Korzystając z liczego przybycia członków Komitetu, którzy z własnej inicjatywy towarzyszą dyżurnym w załatwianiu spraw, pytam o historię i pracę KB.

— Nasz Komitet istnieje od 1950 roku. Pierwszym jego przewodniczącym był radny do DRN Śródmieście Szewczyk, który z dużym nakładem pracy zorganizował go i nadał kierunek jego pracy.

— Ee, wszyscy pomagali... — sprzeciwia się czyjś głos. Okazuje się, że oponentem jest właśnie ob. Szewczyk, który wraz z drugim radnym, ob. Kretowiczem, opiekuje się Komitetem z ramienia Obwodowego Komitetu Frontu Narodowego i dlatego właśnie przychodzi na zebrania, mimo, że obecnie przewodniczącym jest ob. Piętosa.

W historii Komitetu ważnym osiągnięciem było uzyskanie od Banku Inwestycyjnego lokalu na świetlicę. Jest to zasługa członka Komitetu ob. Sztrubla i DRN Śródmieście, która poparła jego starania. Niestety, Zarząd Budynków Mieszkalnych nr 2, mimo licznych prośb, nie zechciał odnowić świetlicy.

— Nie, to trudno — mówią członkowie Komitetu — my pracujemy dalej. Stworzyliśmy własną bibliotekę, w której mamy już 150 tomów, bierzemy czynny udział w odgruzowaniu Warszawy, w pracach na terenie Parku Kultury.

— Mamy także kilka komisji: komisję handlu, która zajmuje się kontrolą sklepów na naszym terenie, komisję awaryjną, kulturalno-oświatową, porad prawnych (jednym z członków KB jest prawnik) i wreszcie komisję zdrowia, której przewodniczący dr A. Klimkiewicz bezpłatnie udziela porad lekarskich naszym mieszkańcom.

Dr Klimkiewicz — obecny na zebraniu — macha tylko ręką na znak, że nie warto o tym wspominać.

— Powiedzcie lepiej o czymś ważniejszym. O, proszę spojrzeć, jaki dyplom uznania dostał nasz KB za zbórkę makulatury. A w akcji zbierania złomu zajęliśmy w tym roku I miejsce w dzielnicy Śródmieście.

— Tak, racja, ale jak doktor pogodził rozchodzące się małżeństwo, a męża-pijaka namówił i skierował na kurację antyalkoholową — to nie ważne?

Istotnie — trudno rozstrzygnąć, którym spośród licznych spraw załatwianych przez KB nr 61 dać pierwszeństwo. Wszystkie bowiem są ważne i wszystkie dowodzą pracy i poświęcenia ze strony jego członków.

Andrzej Koskowski



Zamieszczając po raz pierwszy artykuł o budowie domków jednorodzinnych i spółdzielczych mieszkań blokowych, przyrzekliśmy naszym Czytelnikom dalsze informacje na ten interesujący temat. Owcześnie projekty wkraczają już obecnie w stadium realizacji. A więc 11 spółdzielni budowlano-mieszkaniowych, zawiązanych najwcześniej, wykańczać będzie swoje domki już w roku przyszłym. 10 spółdzielni zarejestrowanych w drugiej kolejności wejdzie do planu inwestycyjnego w roku 1955, a kilkadziesiąt będących w stadium organizacji wstępnej ukonstytuuje się dopiero w roku przyszłym i rozpocznie budowę nie wcześniej, niż w roku 1956. Starania o przyłączenie do tych wszystkich spółdzielni są daremne, nie mogą już cnie bowiem przyjmować nowych członków. Dla dalszych, spóźnionych amatorów jedynym wyjściem jest organizowanie nowych spółdzielni.

„Mówicie właściwie tylko o przyszłości, a przecież mamy jednak w Warszawie ukończone już domki indywidualne i spółdzielcze mieszkania blokowe” — obruszy się zapewne wielu naszych Czytelników. Tym bacznym obserwatorom budownictwa warszawskiego przyznajemy wprawdzie rację, ale konieczne jest tu wyjaśnienie zasadnicze. Wszyscy szczęśliwcy, którzy jeszcze w tym roku zamieszkają we własnych progach, są członkami dawniejszych, powstałych przed ostatnio ogłoszonym dekretem spółdzielni budowlano-mieszkaniowych starego typu.

W naszej wędrówce po spółdzielczych terenach budowlanych odwiedzamy najpierw Saską Kępę, gdzie na 17 parcelach budowlanych przy ulicach Obrońców, Nobla, Styki, Aldony, Genewskiej, Krynicznej i Zakopiańskiej wyrastają domy spółdzielni bud.-mieszkaniowej „Kolektyw”. Wśród jej 78 członków są rzeźbiarze, dla których buduje się 6 pracowni obok przyszłego placu, powstającego u wylotu ulic Obroń-

ców i Nobla, malarze, urzędnicy państwowi, przedstawiciele wolnych zawodów. Około 20 proc. stanowią tu pracownicy fizyczni, którzy w większości wypadków wybrali mieszkania dwu i trzy izbowe w niewielkich blokach (takich mieszkań jest w sumie 28).

Domki jednorodzinne — podwójne „bliźniaki” oraz cztero i sześć szeregowe — zawierają po dwa lub trzy pokoje mieszkalne o przeciętnej powierzchni 20 m², kuchnię, łazienkę i pomieszczenia gospodarcze. Spadziste, kryte czerwoną dachówką dachy, balkoniki i tarasy składają się na harmonijną, miłą dla oka całość.

Spśród 44 domków jednorodzinnych część wykonywana jest według projektów inż. arch. Stefana Koziańskiego, a część projektował inż. arch. Feliks Sienko. Zgłoszone odpowiednio wcześniej życzenia przyszłych właścicieli co do rozplanowania wewnątrz są uwzględniane. Jeśli jednak właściciel chciał mieć np. bardziej luksusową, specjalną stolarkę — to w tym wypadku sam i na własny koszt musiał się o nią starać. Z kosztu ogólnego budowy domku (każda budowa jest własnym, odrębnym rozrachunkiem) odliczono wtedy, naturalnie, sumę, przewidzianą na wykonanie stolarki typowej.

Jeśli już mowa o specjalnych życzeniach to nie sposób pominąć garaży samochodowych. Będzie ich ogółem 18. Większość wybudowano pod tarasami domków bliźniaczych, jest też kilka luźno stojących.

Zajrzyjmy teraz do „seniora budowy”, rozpoczętego w kwietniu br. domku przy pl. Styki (proj. inż. arch. Koziańskiego), gdzie jeszcze w tym miesiącu wprowadzą się pierwsi mieszkańcy kolonii. Na parterze obszerny hall wiedzie do pokoju stołowego z malowniczym kominkiem, obok mamy niewielką ale ustawną kuchnię. Pierwsze piętro mieści sypialnię, łazienkę i otoczony balustradą hall górny z wyjściem na balkon; drugie piętro — to mieszkalna mansarda o łamanych ścianach. Sutebny wykorzystano na pomocnicze pomieszczenia gospodarcze.

Budowa pozostałych domków jest w różnym stopniu zaawansowana. „Do końca tego roku — jak nas informuje prezes „Kolektywu” dr Ferski — 90% całości będzie wykonane w stanie surowym. Zamknięcie budowy (tj. pokrycie dachem i zaszklenienie) pozwoli na kontynuowanie prac wewnętrznych podczas zimy, zaś tynkowanie elewacji rozpocznie się późną wiosną. W lecie 1955 r. wszystkie domy będą zamieszkałe i spółdzielnia ulegnie rozwiązaniu”.

A teraz przenosimy się do Śródmieścia. Inny nieco rodzaj budownictwa spółdzielczego reprezentuje tu spółdzielnia bud. mieszkaniowa „Stolica”, zawiązana wiosną br. Obecnie część jej członków obejmuje już mieszkania w nowowubudowanym, pięciopiętrowym bloku przy ul. Hożej 37, a na początku przyszłego roku gotów będzie następny blok przy ul. Wspólnej 69. Oba gmachy zaprojektowane przez inż. arch. Bienkuńskiego, mają łącznie 52 lokale w tym: 7 czteroizbowych (pow. 75—90m²), 36 trzyizbowych (40—60m²), 7 kawalerek o pow. 20—30 m² i dwa dwuizbowe mieszkania dozorców. Bloki wyposażono w pralnie, suszarnie, windy, zsypy do śmieci na każdym piętrze itp. udogodnienia. Wygodny rozkład wewnętrzny pokoi, duże okna, posadzki z dębowej klepki, łazienki wykładane glazurowymi kafelkami, wbudowane w ściany liczne pawlacze, szafy i przemysłowe skrytki — zadowolą nawet bardziej wymagających.

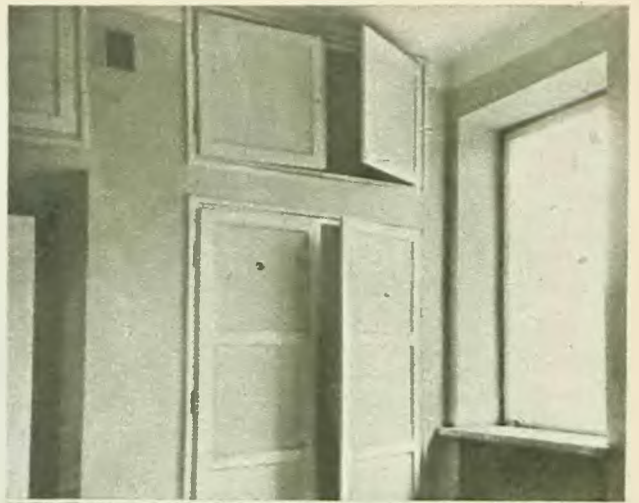
W przyszłym r. przybędzie „Stolicy” jeszcze dalszych 67 mieszkań w dwunowych blokach przy ul. Hczej 59 i Emilii Plater, zaprojektowanych przez inż. arch. Knaufa.

Zagadnięty o stronę organizacyjną spółdzielni prezes Nowakowski informuje, że 50% członków stanowią pracownicy centrali spółdzielczych, jak „Centrala Spożywców”, „Czytelnik”, „Książka i Wiedza”, „Centrala Związku Inwalidów”. Przystąpili oni do spółdzielni budowlanej na warunkach kredytu udzielonego im przez macierzyste centrale, spełniające w tym wypadku rolę banku, przekazującego spółdzielni pełną sumę wkładu, przypadającego na poszczególnych członków.

Pozostałe 50% stanowią tzw. członkowie „luźni”, rekrutujący się przeważnie ze świata nauki, profesorowie, inżynierowie itp. Budowa odbywa się systemem gospodarczym. Spółdzielnia tworzy własne biuro budowlane, angażuje pracowników, kieruje całością prac. Po zakończeniu budowy nastąpi reorganizacja, zmieniająca zarząd w jednostkę, administrującą całym zespołem swych gmachów.

Specjalna pochwała należy się „Stolicy” za pomyslową innowację: zaopatrzenie wszystkich balkonów w jednokowe, drewniane skrzynie na kwiaty, co zobowiązuje każdego mieszkańca do ukwiecenia posiadanego balkonu. Oby jak najwięcej spółdzielni budowlanych — mieszkaniowych, równie i tych nowego typu, przyczyniało się w podobny sposób do wzbogacenia naszego miasta w zielen!

Krystyna Krzyżakowa



Szafy w ścianach w bloku spółdzielczym „Stolica”.



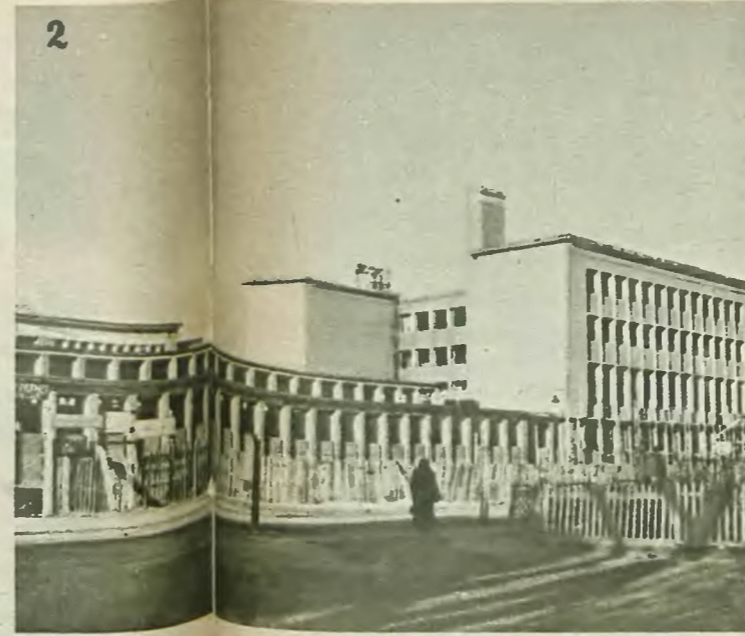
Kolonia domków jednorodzinnych — osiedle Łomianki.



Jeden z domków spółdz. „Kolektyw” na Zakopiańskiej.



Ten domek z „Kolektywu” ukończono w 1954 roku.



Objaśnienie zdjęć: 1. Panorama fragmentu Mokotowa. 2. Przy ulicy Łowickiej wzniesiono duży gmach piekarni „Gigant”. 3. Mokotów posiada centralny ogrzewanie, ciepłownię centralną przy ulicy Wejnerta. Komin został sprytnie zamaskowany i tylko jego wierzchołek wystaje ponad dachem sąsiedniego domu. 4. Widok osiedla mieszkaniowego między ulicami Niepodległości i Wejnerta. 5. A tak wyglądają inne bloki mieszkalne przy ulicy Wejnerta. 6. Przy tej samej ulicy zbudowano jeszcze jedno przedszkole. 7. Wewnątrz mokotowskiego żłobka.



JESZCZE O MOKOTOWIE

W opinii przeciętnego mieszkańca stolicy utarło się mniemanie, jakoby Mokotów był — historycznie biorąc — młodzieżniczką, nie mającą w dodatku, w porównaniu z innymi dzielnicami miasta, poważniejszych tradycji. Opinia ta jest krzywdząca: Mokotów jest bowiem rzeczywiście młody, ale tylko jako dzielnica Warszawy.

Na nic się przeto nie zda zawiść starych piótkarek — Piłnej, Diugłej, Krzywego Koła — skoro Mokotów może się wyłowić w papierach, sięgającymi aż czternastego wieku. Był wówczas, co prawda, wsią należącą do parafii soleckiej, ale powołał zwanowski, by w wieku osiemnastym zastąpić Królikarnią obu Sasów czy wspaniałym ogrodem Elżbiety Lubemirskiej (konkurującym z Powązkami Czartoryskiej) i pałacikiem, który upodobał sobie król Stanisław August.

Już to na tradycjach Mokotowowi nie zbywa, choć od Warszawy leżał niezmiernie daleko. Trochę śmieszne się dzisiaj wydaje to określenie, ale przecież, gdy ks. Józef Poniatowski w czasie bitwy pod Raszynem wydał gwardii narodowej rozkaz obświecenia rogatek mokotowskich — naczynny świadek tych wydarzeń, Józef Krasieński, pisał z powagą o „trudnym a dalekim marszu z Warszawy aż do rogatek” — to jest do dzisiejszego placu Unii Lubelskiej!

Dzisiaj jest już Mokotów najbliższym sąsiadem śródmieścia. Pisaliśmy niedawno w nr-ze 48 „Stolicy” o rozwoju tej dzielnicy, o jej troskach i osiągnięciach. Obecnie postaramy się odpowiedzieć na pytanie: ku czemu zmierza, czym się chce stać w najbliższej przyszłości?

Otóż — zapewne ku zazdrości swoich starszych siostr — Mokotów, jak nas poinformowano, będzie jedną z pierwszych dzielnic mieszkaniowych, która jeszcze w okresie szesnastoletniego planu uzyska bogate wyposażenie w sieć urządzeń komunistycznych i socjalnych oraz urządzeń, związanych ze wszystkimi działami gospodarki komunalnej. Zostaną przełamane istniejące dawniej niesłuszne intencje tworzenia dzielnic wybitnie jednostronnych pod względem struktury gospodarczej. Mokotów otrzyma więc wszelkie urządzenia typu ogólnomiejskiego.

Oczywiście, wszystkie plany na przyszłość rozpoczynają się od budownictwa mieszkaniowego. W roku przyszłym wybudowanych tedy będzie 12 nowych budynków w okolicach ul. Racławickiej o łącznej ilości 2176 izb, oświetlenie uzyska park Mokotowski, ul. Bokerska oraz przyboczne gromady wiejskie: Pyry, Wyszczółki i Grabów.

W północno-zachodniej części Mokotowa powstaje zwolna dzielnica naukowa. Jak wiadomo, mieści się tam Szkoła Główna Planowania i Statystyki i Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego na ul. Rakowieckiej oraz gmach Technologii Politechniki Warszawskiej na Narbutta. W przyszłości na polu Mokotowskim zbudowany będzie pawilon Wydziału Geologii UW i na ul. Wiśniowej jeszcze inny dom akademicki.

Lecczniczo ulegnie dalszej poprawie po zakończeniu rozpoczętej już budowy przychodni obwodowej przy ul. Madalińskiego oraz po zorganizowaniu przychodni rejonowej w okolicy dworca Południowego. Nadto przewidziana jest rozbudowa szpitala (ul. Goszczyńskiego) i otwarcie dwóch nowych żłobków oraz apteki (na Osiedlu).

Alle Mokotów przyszłości to także, a może nawet przede wszystkim — przemysł. Mokotów odegra tu rolę niepodzielną. O nie ternowo budownictwo mieszkaniowe lokalizuje się w pobliżu głównych tras, prowadzących do śródmieścia i innych dzielnic, a dzielnica naukowa zajmie północno-zachodnią część Mokotowa, o tyle budownictwo przemysłowe zgrupowane zostanie na południu, w Służewcu.

Na tym terenie zbudowanych będzie kilkadziesiąt dużych i średnich zakładów przemysłowych o bogatym wachlarzu produkcyjnym. Nadto projektowana jest budowa magazynów przemysłu konsumpcyjnego, zakładów mięsarskich, centrali odzieżowych. Tutaj powstanie jeden z największych w Europie browarów, a także zakłady wytwórcze sprzętu filmowego i in. Tutaj stanie olbrzymi zakład mięsny oraz nowoczesne chłodnie, do których mięso dowożone będzie specjalnymi kolejkami.

Oto w grubszych zarysach obraz przyszłego Mokotowa. I chociaż żył już w tak bardzo dawnych czasach, dopiero teraz nabierze miejskich manier i zacznie przeżywać drugą młodość.



ARCHITEKCI — PLASTYCY



Akwarele T. Iskierki są malowane z ogromnym temperamentem



Prace E. Tatarczyka świadczą o sumiennych studiach z natury.



J. Miorski wykazuje w swych akwarelach dużą kulturę plastyczną.

W siedzibie SARP została otwarta wystawa akwarel i rysunków warszawskich architektów. Jest to impreza bardzo ciekawa, dziwi nas jednak mała ilość wystawców — 34 osoby, znikomy procent ogólnej liczby warszawskich architektów. Widać z tego, że bardzo niewiele spośród nich zajmuje się amatersko plastyką, a to nie dobrze, bo architekci powinni rysować nie tylko przy pomocy linii i grafionu, lecz i

odręcznie. Wtedy bezsprzecznie zyskałyby na tym formy, szczególnie dekoracyjne, projektowanych przez nich budowli. Z pewnością jednak między ilością wystawców a rzeczywistą ilością architektów uprawiających plastykę nie powinno się stawiać znaku równania. Tym bardziej więc dziwi nas brak ich na sali wystawowej. Innym, jeszcze dziwniejszym zjawiskiem jest, że nie widzimy na wystawie prac najbardziej znanych archi-

tektów oraz — poza wyjątkiem — prac architektów konserwatorów. I wreszcie ostatnie spostrzeżenie — to duża różnorodność techniczna i tematyczna prac oraz bardzo różny ich poziom, od prac dobrych, a nawet bardzo dobrych do zdecydowanie słabych; od bardzo ciekawych, poważnych i sumiennych — do lapidarnie powierzchownych i banalnych.

Najbardziej istotną sprawą, jaka się nasuwa na myśl przy okazji tej wystawy, jest problem: czy architekt malujący pejzaż powinien tę pracę traktować architektonicznie czy też plastycznie? Mówiąc wyraźniej: czy powinien być, jak w swej zawodowej pracy, nadal „niewolnikiem“ form, proporcji, precyzji rysunku detalu itp., czy też wrażliwością, który ukazuje wizję zaobserwowanej rzeczy i mówi, jaki jest jego do tej sprawy uczuciowy stosunek?

Sądzę, że nie powinien on być przy tej pracy w roli obiektywnego inwentaryzatora malowanego obiektu; winien raczej wyrażać tu swoje emocje i wrażenia.

W myśl takiej właśnie zasady spróbujmy scharakteryzować kilka typowych prac Wystawy.

Wydaje się, że typowym przykładem rysunku wrażliwego będą akwarele T. Iskierki, malowane z ogromnym temperamentem, lekko i bardzo szybko. Widać że Praga Czeską zachwycała autora, ale, niestety, widać także, że przeszedł on zbyt powierzchownie obok niezwykle piękna jej architektury.

Podobne wrażenie odnosi się z rysunków W. Leskiego; są one niezwykle obiektywne i oschłe, ukazują jedynie kamienne formy architektury.

Zdecydowanie odmienne od tych prac są akwarele i rysunki M. Pietraszunia, E. Tatarczyka i K. Wejcherta; prace tych autorów, skromne i bezpretensjonalne, świadczą o sumiennych studiach z natury i szczerzej interpretacji form plastycznych. Wszyscy oni starają się być przede wszystkim plastykami, dążą do syntezy, stosują inne, niż obowiązujące w rysunkach technicznych, zasady perspektywy. Prace Tatarczyka charakteryzuje pasja i żywiołowość, duża dynamika i agresywność zestawień kolorystycznych. Podobne cechy dostrzegamy też w pracach Pietraszunia, akwarele Wejcherta natomiast są spokojne, aż zbyt stonowane kolorystycznie.

Specjalnego omówienia wymagałyby akwarele J. Jasznińskiego, J. Miorskiego i M. Suzina, bo wydaje się, iż są to najsumienniejsze przeprowadzone studia plenerowe. Jaszniński maluje pejzaż większy z dużą lekkością techniczną i subtelnym odczuciem kolorów. Akwarele Miorskiego charakteryzuje duża dyscyplina i kultura plastyczna, duży wkład pracy oraz wielka subtelność, wynikająca z pogłębienia i emocjonalnego przeżycia tematu. Pejzaże Suzina świadczą o doskonałym opanowaniu rzemiosła plastycznego i dużej wrażliwości kolorystycznej autora. S. R.



Gdy zauważycie na wystawie księgarni muzycznej tę okładkę, niech Was, Drodzy Czytelnicy, nie zraża jej wyjątkowa brzydota. Należy ona do długiej serii dziwactw okładkowych Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w Krakowie, przypominających jakże często rysunki „z kącika małego Kazia“.

W tym wypadku decyduje wartość zeszytu, który nam przynosi 30 nowych pieśni: radzieckich kompozytorów, opracowanych na głos z fortepianem lub akordeonem. W bardzo starannej redakcji znanej śpiewaczki Olgi Lady znajdziemy tu pieśni takich twórców tego ulubionego i u nas rodzaju muzycznego, jak Szostakowicza, Nowikowa, Dunajewskiego, Muradelega i innych. Wiele z nich stało się już i u nas naprawdę pieśniami masowymi. Treść ich mówi o pracy i przyjaźni, o pokoju i miłości. Szkoda tylko, że nie załączono rosyjskich tekstów, nieraz przez wykonawców i miłośników pieśni — tak poszukiwanych. (jk)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wydawnictwo Prawnicze sygnalizuje nam ukazanie się w druku następujących pozycji:

Prawo rzeczowe (o księgach wieczystych), str. 65, zł 4,75.

Rewizja nadzwyczajna w polskim procesie karnym — S. Kalinowski, str. 132, zł 12,25.

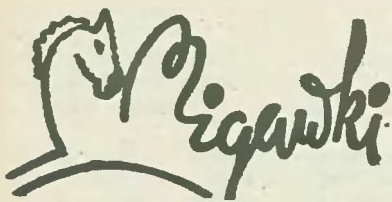
Skorowidz przepisów prawnych, ogłoszonych w Dzienniku Ustaw i Monitorze Polskim w latach 1918—1939 i 1944—1953 — Z. Kecka, str. 345, zł 36.



INTEGRALNY — wchodzący w skład jakiejś całości, jako jej niezbędna, strukturalna część. **MODERNIZM** — wrogi realizmowi, reakcyjny kierunek w sztukach plastycznych, który zrodził się w końcu XIX wieku i usiłował przystosować sztukę do wyradzających się, schyłkowych gustów burżuazji imperialistycznej.

PATETYCZNY — namiętny, pełen patosu, wywołujący wzruszenie, wzniosły.

O WINIE ARCHITEKTÓW I ODPOWIEDZIALNOŚCI PUBLICYSTÓW



Kocham muzykę, ale nie bardzo znam się na niej. Nie tak dawno jeszcze, gdy ktoś powiedział „Opus” — brałem to do siebie i gotów byłbym się nawet obrazić. A gdy usłyszałem piękne słowo „Allegro” — sądziłem, że mowa o jakiejś włoskiej marce wina.

Odkąd jednak słucham regularnie „Słowniczka Muzycznego”, tak miło podawanego przez Waldorffa, otrząsałem się już z terminami muzycznymi, a prof. Rutkowski dopomógł mi nieco do rozumienia wielkiej muzyki. Umuzykałm się więc w szybkim tempie. Ale...

Ostatnio, w rozmowie z pewnym muzykologiem, chcąc się popisać znajomością rzeczy, powiedziałem, że operę „Mefistofel” skomponował Arrigo Buato.

— Boito — poprawił muzykolog.

— Słyszałem, jak spiker w radio wymawiał „Buato”.

— To źle wymawiał. Nie Buato a Boito, tak jak na przykład nie stuasko, a stoisko, nie buasko, a boisko. Nie zawsze „oi” wymawia się z francuska „ua”. W tym wypadku jest to nazwisko włoskie.

Innym znów razem pochwalilem się, że pamiętam nazwisko właściciela oberży w II akcie opery „Carmen”: brzmi ono: Lilias Pastir.

— Lilias Pastia — skorygował tenże muzykolog.

— Hmm... — widocznie spiker w radio się przejęczył.

— Widocznie.

Podobnych małych „przejęczyczeń” (nie sądzę, aby była to ignorancja) mój rozmówca przytoczył więcej, jak choćby zapowiedź chóru chłopięcego z Drezna, w której spiker nazwał Greczaninowa „kompozytorem ra-dzieckim”.

Ludzka to rzecz. Zdarza się nawet znakomitym aktorom, może się zdarzyć i znakomitym spikerom.

Ale ponieważ nie każdy słuchacz ma pod ręką znajomego muzykologa, proponuję aby i spikerzy pilnie słuchali „Słowniczka Muzycznego”.

Skoro już jestem przy głosie na tematy radiowo - muzyczne, ośmielę się przyznać, a nie bierzcie mi tego za złe, że przestałem kochać niektóre piosenki o naszej kochanej Warszawie; zbyt to już ograne i obśpiewane przez wszystkie głosy. Nie mówię, że piosenki te są brzydkie — przeciętnie są miłe, lekkie i smaczne... jak krem. Ale ten krem przejadł się nam nieco.

Kochani, mili, drodzy kompozytorzy i tekściarze! Radio i miliony jego słuchaczy czekają na nowe piosenki o Warszawie!

KROPKA

Od szeregu lat zakorzenił się w naszej prasie codziennej i periodycznej zwyczaj obciążania architekta - projektanta odpowiedzialnością za wszystkie popełnione i niepopełnione grzechy, których tak wiele, niestety, zauważyć można wśród nowopowstających obiektów inwestycyjnych. Zwyczaj ten polega na beztróskim obwinianiu projektanta, bez głębszego, poważniejszego wnikania w istotę sprawy, bez wszechstronnego zbadania powodów, które doprowadziły do opłakanych często skutków.

Niejednokrotnie sugeruje się, że projektant zapoznał się przed przystąpieniem do projektowania z literaturą fachową na dany temat i z obiektami tego typu już zrealizowanymi. Ten logiczny na pozór domysł świadczy o kompletnej niezajomości warunków pracy w biurach projektowych, gdzie obecnie, przy systemie stałego podwyższania normy wydajności i obniżania pracochłonności, projektant nie ma absolutnie czasu na zaznajamianie się z literaturą fachową. Jedyną literaturą, nieodzowną przy projektowaniu, są standardy, zwane obecnie normatywnymi technicznymi projektowania (NTP).

Normatywy te określają zarówno rodzaj i ilość pomieszczeń, jak i ich powierzchnię. Dlatego też w zasadzie — bez zwiędzania istniejących obiektów — projektant posiada wszelkie dane, aby wiedzieć, że np. w domu akademickim trzeba zaprojektować i świetlicę, i stołówkę, i kuchnię. Wie, jak wielkie mają być ich powierzchnie. Jeśli projektant tego nie zrobił, a projekt mimo to został zatwierdzony (bez zatwierdzenia nie mógłby być zrealizowany), to przyczyna tego zła nie musi leżeć wyłącznie po stronie projektanta. Jeżeli założymy fakt nieprawdopodobny, że projektant zapomniał o tak istotnych elementach domu akademickiego, to odpowiedzialność za to ponosi nie sam, lecz wspólnie ze wszystkimi czynnikami opinującymi i zatwierdzającymi, jak Rada Techniczna, organy weryfikacji i władza zatwierdzająca. Lecz istnieje jeszcze druga możliwość, a mianowicie, że inwestor z pewnych przyczyn nie chciał mieć tych pomieszczeń (np. w bezpośrednim sąsiedztwie istnieje analogiczny obiekt z tymi właśnie pomieszczeniami, które mogą obsłużyć obiekt nowy). Tym swoim życzeniem dał wyraz w „założeniach projektowych”, które są obowiązujące dla projektanta. Dlatego też przed stawianiem zarzutów należy zawsze zapoznać się również z założeniami projektowymi, a



Rys. inż. Ojczkowski

nie tylko z faktami, zaistniałymi w terenie.

Zarzuty stawiane architektom są często bezpodstawne. W ten sposób wprowadza się w błąd opinię publiczną, a więc tym samym tego rodzaju działalność publicystyczną uznać należy za szkodliwą.

Piszący te słowa na własnej skórze odczuł brak odpowiedzialności u prowincjonalnego dziennikarza, który głównego projektanta wielkiego zespołu wyższej uczelni akademickiej oczernił publicznie na łamach swego pisma, że zapomniał zaprojektować kotłownię centralnego ogrzewania (!), podczas, gdy faktycznie inwestor, decydując inny niż ustalono porządek realizacji poszczególnych bloków, naraził się na konieczność funkcjonowania jednego bloku przed ukończeniem bloku z kotłownią centralną! Ani pisemne wyjaśnienie Miastoprojektu, ani osobista roz-

mowa głównego projektanta z redaktorem dziennika nie wpłynęły na zwiększenie poczucia odpowiedzialności w redakcji tego pisma. Żadne sprostowanie się nie ukazało.

Zdajemy sobie dobrze sprawę, jak bardzo pożądana jest każda krytyka, a więc i krytyka publiczna na łamach prasy. Pod warunkiem jednak, aby była to krytyka poważna, odpowiedzialna, gdyż tylko taka krytyka staje się czynnikiem twórczym.

Należałoby więc życzyć publicystom, zajmującym się sprawami architektury, aby wyzbyli się tonu ironicznego - złośliwego w stosunku do architektów, aby przestali pisać o „beztróskim zapominalstwie” architektów, i aby równocześnie, poczuwając się do większej odpowiedzialności za wypowiedzane sądy, wnikali rzetelnie w istotę poruszanych przez siebie zagadnień.

Andrzej Nitsch

Z REDAKCYJNEJ

POCZTY

Czytelnik z Radomia. Odpowiadamy na parę pytań. 1. Plan schematyczny układu dzielnic Warszawy jest w przygotowaniu. 2. Zdjęcia staramy się dawać możliwie jak największe. 3. Zmiana formatu pisma nie jest aktualna. 4. Wielu Czytelników

ocenia pozytywnie cykl muzealny na ostatniej stronie „Stolicy”. Jeszcze się taki nie narodził, co by wszystkim dogodził... 5. Konkurs na rozwiązanie otoczenia Zamku warszawskiego trwa. Wkrótce upływa termin składania prac konkursowych przez jego uczestników.

Ob. Penier Zygmunt i Inni „laureaci” ostatniego konkursu ry-sunkowego. Przepraszamy za zwłokę w przesłaniu nagród; pragniemy Wam ofiarować najnowsze wydawnictwo o Warsza-

wie, które dopiero teraz wyszło w druku.

Ob. Gier WI. w Zgierzu. Prośbę o zamieszczanie części zdjęć dawnej Warszawy będziemy mieli na uwadze. Tak się złożyło, że duże zdjęcie właśnie przedwojennego ratusza znalazło się w numerze 49, gdyż „pasowało” do tematu.

„Zyczliwy czytelnik”. „Zwęzać” a nie „zawęzać”, jak pisano w „Stolicy”. Zupełnie słusznie! Nigdy za wiele troski o język na stronach pisma.



Fragmety zapisków autobiograficznych

X

Przez kilka dni miałem kompletną swobodę. Wkrótce zjawiał się wujek - projektodawca, który zaraz na wstępie wypalił mi że „miał być budowniczym, a jesteś niczym”. Po tym wstępie, serdecznie zresztą ze mną rozmawiając, zabrał mnie ze sobą do owego „pana pryncypała od fabryki szyldów”. Nie powiem, żeby mi się tam nie podobało. Przede wszystkim uderzył mnie na samym wstępie bardzo dla mnie miły zapach farb.

Pryncypał ów zaczął klarować dość logicznie, że czas wielki, ażeby inteligencja przestała czepiać się uniwersytetów, gdyż adwokaci, doktorzy itp. przymierają głodem, a tymczasem odlegiem leży dużo działów pracy rzemieślniczej. Jednym słowem przyjął mnie i kazał nazajutrz o 8 rano stawić się w warsztacie, który mieścił się w suterenie.

NIEZNANY ŚWIAT



Gdy schodziłem pierwszy raz po schodach w dół do tej sutereny, nie przypuszczałem, że zastanę tam zupełnie inny świat, dołąd dla mnie obcy, a jednak — także ciekawy!

Środowisko w pierwszym okresie zupełnie mi obce poznawałem każdego dnia lepiej. Odkrywałem w wilgotnych ścianach sutereny tyle gorących serc i solidarności koleżeńskiej, że wkrótce ten świat więcej mnie obchodził, niż dawne środowisko kolegów gimnazjalnych. Może dla tego po prostu, że między tych opuszczonych i zahukanych chłopców wniosłem jakiś inny, świeży powiew czegoś co zaciekawia i poniekąd — imponuje.

Zakład mieścił się na Nowym Świecie, w trzecim podwórku. Po prawej stronie było wejście do pracownianej sutereny, cały zaś parter zajęty był na magazyn farb i mieszkanie majstra.

Gdy pierwszego poranka zjawiał się w warsztacie, w mrokach rozpoznawałem swych przyszłych kolegów i przelożonych.

Wśród nich był mały, wychudzony chłopaczyna, przypominający miniaturową mumię, sierota. Drugi, syn rzeźnika, wielkie ale głupie chłopisko, stale usmarkane i uśmiechnięte.

Następni, Julek i Franuś, jako zaawansowani — imponowali reszcie zręcznym piśaniem liter. Był jeszcze Oleś, który kończył praktykę, oraz sepleniący Janek, który terminował już pięć lat i nie mógł się „wypisać” na czeladnika, bo „sztuka”, którą robił na „popis” do cechu, zawsze miała jakieś wady. Sztuką tą u lakierników było zrobienie na białą tacy, ale tak gładkiej, ażeby nie miała na sobie najmniejszego pyłku. Pamiętam go, stale siedzącego gdzieś w kącie i zawzięcie szlifującego tę nieszczęsną tacę.

Wszystko szło tam, jak w zegarku. Hierarchia panowała niepodzielnie. Liczba przebytych lat, a nawet miesięcy, dawała każdemu z chłopców odpowiednie prerogatywy i rodzaj pracy. Moja sytuacja nie była do pozazdrosczenia, bo choć wiekiem byli i młodsi ode mnie, jednak wysługa lat stawiała ich przede mną. Jednym słowem uważany byłem, z porządku rzeczy, za najmłodszego. Ta najmłodszość okazała się bardzo przykra, gdyż z nią związane było przede wszystkim przychodzenie o godzinę wcześniej do warsztatu i zamiatanie podłóg. Poza tym należało być na posyłki i w ogóle wykony-

wać mało przyjemne roboty. O obowiązkach tych oznajmił mi uroczyście czeladnik zaraz po moim przyjściu.

Niedługo czekałem na debiut, gdyż akurat wyjeżdżał wózek z olbrzymim gotowym szyldem oczywiście ciągniony i popychany przez pięćaków z warsztatu. Ponieważ ja w tej chwili byłem owym pięćakiem z szarego końca, więc zaprzęgli mnie i, jak niepyszny, zacząłem wspólnie z nimi posuwać wózek. Na razie było mi głupio, później rozśmieszyła mnie ta sytuacja, w końcu — zacząłem odczuwać zmęczenie.

Gdyśmy przyjechali na miejsce, bardziej świadomi rzeczy zaczęli rozstawiać drabiny i umocowywać nad sklepem szyld. Gdy przemęczony przysiadłem na brzegu wózka, stojącego na jezdni, myśli zaczęły mi się krzyżować z pytaniami, z których jedno stało mi najjaśniej przed wyobraźnią. Zacząłem sam siebie pytać: Czy ta „końska” droga jest istotnym moim przeznaczeniem? Czy tą drogą muszę iść, aby dojść do umiłowanego celu?

Z marzeń zbudziłem mnie towarzysze. Jak w malignie popychałem wózek po wyboistych ulicach do celu, do malarni, do której się schodziło w dół. Robiło mi się trochę nieswojo na myśl o podobnych trudach, ale wybrał mnie z sytuacji majster, który zszedł z góry do warsztatu i zadecydował: „Jest tu między wami nowy kolega, Bronisław. Ale nie obarczać go żadnymi obowiązkami, jak sprzątanie itp. niech wszystko zostanie po dawnemu, tak jakby go nie było!”

Musiałem na otoczeniu zrobić sympatyczne wrażenie, gdyż po wyjściu „starego” nie było rozgoryczenia ani zazdrości. Wkrótce zrozumiałem, dlaczego majster mnie oszczędzał: po prostu potrzebny mu byłem bardziej niż inni, zaprzęgił mnie bowiem od razu do malowa-



nia rzeczy, z którymi zawsze miał kłopot. Mianowicie wykonywałem wszystko, co wymagało umiejętności rysowania i względnie smaku artystycznego. Więc różne na szyldach buty, czapki, głowy cukru, gwiazdy cechowe, ulani przeskakujący przez dużą podkowę i reklamujący tym wyczynem hacele Bruna, itp.

Moi współtowarzysze wylupiali oczy na moje wyczyny. Byłem dla nich wyrocznią pod każdym względem. Gdy przyszły długie, zimowe wieczory, a „starego” nie było, zaszywałem się w olbrzymim piecu od emalii. Tam pochłaniałem moje opowiadania na różne tematy, zwłaszcza te, które dla nich stanowiły tajemnice. A takich było wiele...

Za pracę całodzienną otrzymywało się wyżywienie, tzn. śniadanie, obiad i kolację.

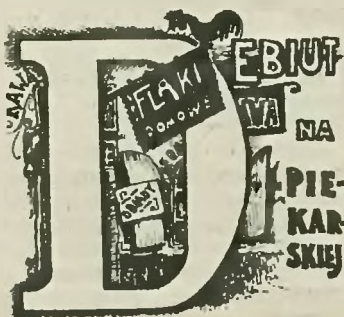
W roli terminatora przebyłem pięć miesięcy. Towarzysze pracy podciągnęli się przez ten czas bardzo, zaczęli czytać książki, myć zęby, nosić kołnierzyki i krawaty oraz czyścić obuwie, co majstrowa doprowadzało do szału. Nie mogła się pogodzić z tym, ażeby „chłopak” śmiał nosić kołnierzyk i krawat, tak jak czeladnik. „Wszystkiemu winien ten panicz, psia krew, Bronisław!”

Artystą bywałem tylko w niedziele. Od rana zasiadałem do sztalugi i zmrok tylko potrafił mnie od nich odpędzić. Kiedy malowałem z zapalem, często wyczuwałem stojących za mną rodziców, śledzących moją pracę. W ich drogich oczach czytałem wyraźnie, czego by dla mnie pragnęli.

Pewnego razu w warsztacie, nie pamiętam już z jakiego powodu, zawrzało jak w piekle. Któryś z chłopców coś przeskrobał. Wziąłem go w obronę tak energicznie, że w rezultacie wylano mnie z posady. Trud jednak tej pracy kilkumiesięcznej nauczył mnie wiele. Często korzystałem w życiu z praktycznych doświadczeń warsztatowych.

Usunięcie mnie z warsztatu miało dalsze następstwa; mianowicie najbardziej zaawansowany uczeń, Franuś, poszedł w moje ślady. Porzucił pracę i odtąd stanowiliśmy spółkę... bezrobotnych.

Lecz były to czasy, kiedy szyldami i wszelkiego rodzaju napisami Warszawa cała była wytafetowana na płaszczyznach domów, parkanach, szybach. Malarzy - kaligrafów zawsze było za mało. Więc też w kilka dni Franuś zainstalował się w pracow-



ni szyldów Józefa Brandta na ul. Siennej 13. Zarabiał dobrze. Często go odwiedzałem. Raz u pewnego zastałem w warsztacie majstra Brandta. Miałem ze sobą kasę, a w niej tylko co namalowany szkic z Łazienek. Majster bardzo się zainteresował moją osobą i wyciągnąwszy z szafki jakieś kolorowe reprodukcje zapytał, czy nie namalowałbym mu takich landszaftów ręcznie, olejno, w większym formacie? Dobiłszy targu. Odtąd malowałem w warsztacie „pejzaże i rodzajowe”, najczęściej sceny z polowań. Otrzymywałem po rublu od sztuki oraz farby olejne.

Zarobiony „fajgiel” (rubel) dziennie stawiał mnie w szeregu młodych ludzi świetnie sytuowanych. Przeżywałem wprawdzie nieraz

męki, kiedy to pan Józef wpadał w zapał twórczy i recytował opisy scen myśliwskich, które musiałem umieszczać w poszczególnych obrazkach.

Trwało to kilka miesięcy. Brandt miał już moich „obrazów” kilkanaście, kiedy zaprosił mnie na niedzielę, po obiedzie, do siebie, w celu, jak mówił, obejrzenia całości „w kupie”.



a ulicy Piekarskiej, gdzie co drugi sklep dymił kawą lub domowymi flakami, nie łatwo było trafić do mieszkania pana Brandta, którego małżonka posiadała kawiarnię z „domowym wypiekami”. W końcu trafiłem. Nieduży sklep, zastawiony stolikami o przeróżnych stolkach, w głębi posiadał bufecik ze szklaną szafką, w której dominował duży tort z drzewa, pomalowany na „czokoladowo” oraz babki i placki. Dekorację uzupełniały bibulkowe kwiaty, pozatykane gdzie się dało, zegar z kukułką i zielone portiere pluszowe, które kryły drzwi, prowadzące do „salonu”. Po przywitaniu poprowadził mnie gospodarz do owego salonu.

Byłem zaskoczony tym wnętrzem. Pan Brandt, który na pewno nigdy nie był na żadnej wystawie sztuk pięknych, instynktownie stworzył prymityw takowej w swoim salonie.

Podłoga wymyta do białości złościła się gruzelkami wiślanego piasku, szczerze wysypanego. Ściany, o ponsowym odcieniu w seledynowy rzucik, oblepione były moimi „dziełami”, za których ramy powtykane były całe pęki zielonego tataraku. Na środku stolik, różową serwetą nakryty, na którym o doniczkę z hiacyntem oparty był kartonik z tytułami.

Wokół — stoliki z gośćmi. Kiedy wszedłem, pierwszym, który uścił mi silnie dłoń i złożył gratulację, był pan Szmajke, rzeźnik — wędliniarz z Zapiecka. Dla potwierdzenia uznania wyjął dwa trzyrublowe zielone banknoty i wręczył Brandtowi, jako należność za dwa nabyte u niego obrazy.

Drugim nabywcą był pan Jastrzębski, który obok prowadził „obiady gospodarskie Pcd Kokoszą”, sławny poza tym z tego, że sam wymyślił i zrobił dużą kurę, siedzącą w koszu, która po wrzuceniu dziesiątki w szparę na łbie gdała jak żywa i wypuszczała od tyłu jajo tekturowe z niespodziankami wewnątrz, jak pierścionki, sznury pereł, brylantowe kolie itp.

Przyznacie, że musiałem jako autor przeżywać w owym czasie nie lada wzruszenie i emocje, jeśli do dziś pamiętam nazwiska owych „mecenatów”.



Dawne uliczki Powiśla miały charakter matomiasteczkowy, jak to widzimy na obrazie B. Koczyńskiego pt.: „Zadymka” (Mostowa-Rybaki).

CAŁY NARÓD BUDUJE SWOJĄ STOLICĘ

REALIZUJEMY
PLANOWE ZADANIA
SFOS

Poza województwem białostockim i stolicą, 23 listopada rb. wykonało swoje tegoroczne zadania zbiorowe miasto ŁÓDŹ, wyprzedzając o jeden dzień woj. opolskie i o sześć dni — woj. łódzkie — laureata współzawodnictwa sfosowskiego w skali ogólnokrajowej za 1953 r.

Udział wymienionych terenów stanowi prawie 1/6 rocznego planu krajowego SFOS.

Ofiarna praca propagandowo-organizacyjna stale rosnącej liczebnie kadry społecznych działaczy sfosowskich, zgrupowanej w komitetach i kołach OW, które rozwijają działalność na szerokiej bazie współzawodnictwa, umożliwia stawianie akcji SFOS coraz wyższych zadań. Zadania te są już tradycyjnie realizowane z nadwyżkami, dzięki systematycznemu upowszechnianiu świadczeń, co w konsekwencji przynosi stolicy i krajowi setki nowych, cennych inwestycji typu kulturalno-oświatowego, będących najistotniejszą, najbardziej przekonywującą propagandą akcji SFOS.

Poniższe dane ciekawie ilustrują rozwój akcji SFOS. Otóż, jeżeli przyjmiemy jako wskaźnik 100 osiągnięcia zbiorowe okresu organizacyjnego 1946/7, to efekty dalszych lat wyrażają się w następujących cyfrach: 1946 r. — 138, 1949 — 230, 1950 — 249, 1951 — 277, 1952 — 325 i 1953 — 437. Sama tylko zbiórka 10-ciu miesięcy rb. jest przeszło 3 i 1/2 razy wyższa od osiągnięć okresu 1946/7.

W tych warunkach jest rzeczą zrozumiałą, że 6-letni plan SFOS został wykonany na 450 dni przed terminem. Zaszczętną grupę przedterminowych realizatorów sześciolatki powiększyło 23 listopada woj. warszawskie. jako 12-te w kraju oraz następujące powiaty: sieradzki (20/X) i łódzki (2/XI) z woj. łódzkiego oraz hajnowski (10/XI) i grajewski (11/XI) z woj. białostockiego.

T.

WSZYSCY SPÓŁDZIELCY W AKCJI SFOS

Członkowie Rolniczego Zespołu Spółdzielczego „Jasna Droga” z gromady Świdnica — w odpowiedzi na apel Wojewódzkiego Komitetu OW w Zielonej Górze — podjęli na naradzie piękne zobowiązanie. Czytamy w nim m. in.: „Przeanalizowaliśmy dokładnie nasze możliwości przyścisła Warszawy z pomocą w odbudowie i wzorując się na przykładzie klasy robotniczej — przeznaczamy na rzecz SFOS zebrany złom w ilości 4800 kg, a ponadto każdy z naszych członków-spółdzielców przekazuje na ten piękny cel równowartość 100 kg ziemiaków ze swych działek przyzagrodowych. Uważamy, że nie powinno zabraknąć ani jednego ze spółdzielców, wykuwających nowe, szczęśliwe jutro wsi polskiej, wśród budowniczych naszej ukochanej stolicy. Bo praca dla niej — to sprawa honoru i obywatelskiego obowiązku każdego Polaka”.



Stoczniovcy szczecińscy ładują złom, zebrany w akcji dla SFOS-u.

ZŁOM SZCZECIŃSKI DLA WARSZAWY

Przy stoczni szczecińskiej, nagrodzony we współzawodnictwie krajowym SFOS za rok 1953 IV miejscem, już 19 października br. wykonał podjęte dla uczczenia II Zjazdu Partii zobowiązanie. Mianowicie zorganizował dwie wielkie imprezy propagandowe, 3 odczyty dla całej załogi oraz wyświetlił 5 filmów o tematyce warszawskiej, zdobył 70 prenumeratów „Stolicy” i zrealizował swe zbiorowe zobowiązanie z nadwyżką 16.200 zł ponad stałe świadczenia załogi. W ramach zobowiązania „wrześniowego” zebrał ponadplanowo 22 tony złomu, przekazując do hut — poza normalną i planową cdstawą złomu — już 122 ton złomu, w tym 26 ton metali kolorowych, przekazując równowartość na SFOS. ZKOW zapo-

wiada, że przynajmniej jeszcze 2 wagony złomu zostaną zebrane i dostarczone hutom.

Jak się to stało, że w wrześniowej zbiorce złomu, wśród b. licznych współzawodniczących, załoga i ZKOW Stoczni nadal zachowują przodownictwo.

Przypatrzmy się pracy ZKOW przy Stoczni. W zebraniach ZKOW uczestniczą wszyscy przewodniczący rad oddziałowych, przedstawiciel ZMP, TPPR, Rady Kobiet. Bierze w nim również udział sekretarz Zakładowego Komitetu Partii. Zbiórkę pod względem technicznym opracował dyrektor administracyjny, a przedstawiciele masowych organizacji ustalili plan mobilizacji poszczególnych załóg.

Następnie błyskawica na Stoczni podaje komunikaty z placu „boju sfosowego”. „Trybuna

CZŁONKOWIE RAD NARODOWYCH W GŁOGOWIE
AKTYWISTAMI SFOS

Wybory do rad narodowych zmobilizowały aktywnych wszystkich organizacji społecznych do wyężonej pracy nad należytych przygotowaniem tego doniosłego, ogólnonarodowego aktu politycznego. Ważę i znaczenie wyborów dla dalszej działalności KOW dobrze rozumieją aktywiści sfosowscy Ziemi Lubuskiej. „Sam fakt — mówi K. Gerhard, kierownik biura WKOW w Zielonej Górze — „organizowania nowych gromad nakłada na nas poważne obowiązki, wzmaga odpowiedzialność za pracę w terenie, ponieważ powstają obecnie większe możliwości ściślejszej współpracy ze wsią. Nowy podział administracyjny zbliża akcję SFOS do ludności wiejskiej, pozwala bowiem ściślej powiązać, poprzez rady gromadzkie, naszą działalność z życiem wsi. Stoi przed nami zadanie zorganizowania w każdej nowej gromadzie aktywu sfosowskiego, mobilizacja nowej kadry działaczy gromadzkich Komitetów OW. Już od dłuższego czasu komitety powiatowe OW Ziemi Lubuskiej, zmobilizowane do akcji wyborczej, pracują w tym kierunku OW”.

Odwiedziłem Głogów, którego PKOW, sprężyste kierowany przez Walentego Nawrockiego, sekretarza PRN, należy do najczynniejszych w woj. zielonogórskim, o czym świadczy chociażby fakt, że w akcji imprezowej zdobył w bieżącym roku jedną z pierwszych lokat w skali wojewódzkiej. Również należy do przodujących w zbiorce świadczeń sfosowskich od rolnictwa.

W rozmowie o perspektywach powyborczej pracy w powiecie głogowskim na odcinku akcji sfosowskiej, ob. Nawrocki powiedział: „Aparat rad narodowych, aby pracować dobrze, musi być ożywiony głębokim patriotyzmem. Jednym z najważniejszych zadań ogólnonarodowych jest budowa Warszawy i w akcji tej, szczególnie tu, na terenie Ziemi Lubuskiej, pracownicy rad narodowych muszą przodować. Dlatego od dłuższego czasu mobilizujemy ich dla działalności sfosowskiej. Przykładem tej pracy zachęcamy czynnik społeczny w komisjach rad narodowych do współdziałania z komitetami OW. Członkowie Komisji rad narodowych bardzo chętnie na terenie powiatu gło-

Stoczniovcy” — organ zakładowy — apeluje do załogi, podaje bieżące osiągnięcia i nazwiska wyróżniających się w społecznej zbiorce, przypomina, że załoga i ZKOW współzawodniczą ze stoczniami w Gdańsku i Gdyni.

W niedawno odbytym zebraniu wzięli udział tow. tow.: Leoszewski — sekretarz KZ PZPR, Kozyra — sekretarz Rady Zakładowej, Jelonek — Rada Kobiet, Majewski — ZMP, Jendza naczelnym dyrektorem, Zelwianski dyrektorem administracyjnym. Po sprawozdaniu przewodniczącej ZKOW tow. Heleny Stankiewicz i skarbnika ZKOW tow. Szpiro, pada decyzja: 20 osób wyróżniających się w społecznej zbiorce złomu na budowę Warszawy pojedzie do Warszawy, a społeczna zbiórka złomu na budowę Warszawy prowadzi się nadal.

Stanisław Kowalik.

PRENUMERATA „STOLICY”

WE WSZYSTKICH KIOSKACH
„RUCHU”

Wszystkie kioski „Ruchu” będą przyjmowały, począwszy od dnia 1 grudnia br., między 1 a 25 każdego miesiąca, prenumeratę „Stolicy” na miesiąc następny.

Odbiór pisma odbywać się będzie w kiosku, w którym dokonana była wpłata.

Kioski na dworcach kolejowych, ze względu na przeciążenie obsługi, w zasadzie nie będą przyjmowały prenumeraty.

Zwracamy uwagę Czytelników na to poważne udogodnienie, gwarantujące terminowe i systematyczne otrzymywanie „Stolicy”. Dotyczy ono, naturalnie, i innych czasopism oraz dzienników. Cenniki, katalogi prasy oraz bliższe informacje — w każdym kiosku „Ruchu”.



Walenty Nawrocki, przewodniczący PKOW w Głogowie.

Fot. Ludomir Rubach

gowskiego realizują plany pracy SFOS.

Zainteresowanie Komisji Rad Narodowych pracą GKOW posiada nadto duże znaczenie moralne, stanowi przykład i zachętę dla organizacji masowych, podnosi autorytet GKOW w oczach ludności. Wielu członków komisji stało się przodującymi na naszym terenie aktywistami SFOS. Szczególnie w pracy na rzecz budowy Warszawy wyróżnili się, jak dotąd, następujący członkowie komisji radzieckich PRN: Agnieszka Pronobis, Jan Jędrzejewski z komisji finansowej, Kazimierz Perczyński z komisji budowlanej i Władysław Sztucki z komisji handlu” — kończy swoje wyjaśnienia W. Nawrocki.

L. R-ch.

TURYSTYKA

WYPOCZYNEK

KOM
TUR

WYCIECZKA... W PRZESZŁOŚĆ

Przeminał czas wycieczek, opustoszały szlaki leśne, polne i wodne.

Każdy, kto wędrował z plecakiem, czy też w niedzielę, spragniony krzepiącego oddechu wśród piękna natury, odwiedzał podmiejskie okolice — zetknął się z nieznanymi sobie zjawiskami z zakresu żywej czy martwej przyrody. Właśnie więc teraz, w „ogórkowym“ sezonie wycieczkowym, sumując nasze wrażenia z letnich wypraw, usiłujmy owe niewiadome wyjaśnić lub też zapomniane — przypomnieć. Możemy to uczynić bez większego trudu na niekłopotliwej, miejskiej wycieczce do Muzeum Ziemi. Mieści się ono w niewielkim pałacyku o zdobnym kolumnami wejściu, na terenie Centralnego Parku Kultury, tuż za gmachem Młodz. Domu Kultury (d. YMCA).

Pałacyku „strzeże“ potężny głaz, wydobyty przy kopaniu fundamentów gmachów PKPG. Jest to niewątpliwie najstarszy zabytek warszawski, pochodzący jeszcze z okresu epoki lodowcowej. Dotąd znać na nim ślady żłobień potężnych zwałów lodowych. Wehodzimy do wnętrza budynku.

Zaraz w pierwszej salce dowiadujemy się z efektywnie dobranych przykładów, że najtrwalszym, a zarazem najstarszym materiałem i tworzywem dla rąk ludzkich jest kamień.



Muzeum Ziemi w Warszawie mieści się w zabytkowym pałacyku.

W drugiej salce natkniemy się na „sprawy wulkaniczne“. Wprawdzie dziś na ziemiach polskich, na szczęście, nie ma czynnych wulkanów. Były one jednak, zostawiając zachowane do dziś ślady swej działalności. Dowiadujemy się tu także ciekawych wiadomości o lodowcach i ich wyczynach, o wietrzeniu skał; ujrzemy ślady fal sprzed wielu tysięcy lat.

Trzecia sala prezentuje znajdujące w różnych stronach Pol-

ski skamieniałe organizmy pierwotne. Zobaczymy, jak wyglądają np. amonity lub belemnity, popularnie choć błędnie zwane „strzałkami piorunowymi“, z którymi — jak również z wieloma innymi oglądanymi tu znaleźskami — zetknęliśmy się niejednokrotnie wśród piaszczystych okolic nadwiślańskich.

W czwartej salce oglądamy szczątki roślinne i zwierzęce z epoki czwartorzędowej, a więc z tych niezmiernie odległych cza-



Największy w Polsce amonit.

sów, gdy i na naszych ziemiach pojawił się człowiek. Ujrzymy jego pierwotne narzędzia pracy i obrony.

Wreszcie piąta salka powraca na tle wielkich fotosów do kamienia w postaci polerowanych płyt marmurowych, o przepięknym nieraz deseniach.

A więc niech Muzeum Ziemi, otwarte we wtorki, czwartki i soboty od godz. 9 do 15, a w niedziele od 10 do 18, będzie pierwszą naszą międzysezonową, ciekawą i pouczającą zarazem wyprawą.

ABS.

Zdjęcia: Teodor Hermańczyk

URLOP ZIMOWY
TYLKO NA WCZASACH ZIMOWYCH

W roku bieżącym do działalności PTTK został wprowadzony nowy, bardzo atrakcyjny i pozytywny czynnik rozwoju turystyki i krajoznawstwa — WCZASY WĘDROWNE, pomyślane przede wszystkim dla pracowników fizycznych. Inicjując tę nową formę turystyki, PTTK miało pewne wątpliwości, czy przyjmie się ona wśród robotniczy warszawskich. Lecz zjawienie się w biurze PTTK po skierowania na 14-dniowe wczasy wędrowne Krystyny Szczypińskiej, Andrzeja Kozy i innych robotników F-ki Wyrobów Precyzyjnych im. Świerczewskiego oraz wielu robotników i robotnic warszawskich z Drukarńi im. Rewolucji Październikowej, Zakładów Radiowych im. Kasprzaka i in. wykazało, że pomysł PTTK „chwycił“.

Kaz. Sułkowski, zecer ręczny z RSW „Prasa“, po powrocie z turnusu w Tatrach powiedział: „Przed wojną na taki wypoczynek mogli sobie pozwolić tylko obszarnicy i fabrykanci. Robotnik polski nawet nie marzył o tego rodzaju wczasach“.

Zakopane, Krynica, malownicze miejscowości górskie, leżące u podnóża Tatr czy Karpat, były przed wojną milionom ludzi pracy w ogóle nie znane. Korzystała z nich garstka pasażerów, żyjąca z wyzysku robotnika i chłopca.

Wobec znacznego powodzenia letnich wczasów wędrownych, PTTK już obecnie, wspólnie z FWP, przystąpiło do organizowania w styczniu — marcu 1955 roku wczasów wędrownych narciarskich oraz wczasów w postaci obozów szkoleniowych w schroniskach PTTK. Będą one za niewielką opłatą udostępnione pracownikom fizycznym i umysłowym.

Wędrowne wczasy narciarskie przebiegać będą po dwóch głównych szlakach:

1. szlak beskidzki: Zwardoń, Hala Boracza, Lipowska, Węgierska Góra, Skrzyczne, Klimczok;
2. szlak karconoski: Świeradów, Szklarska Poręba, Szrenica, Odrodzenie, Samotnia, Karpacz.

Obozy wczasowo-szkoleniowe rozmieszczone będą w schroniskach PTTK na: Śnieżniku, Kalatówkach, Ornaku, Rybnicy Leśnej — im. Krajewskiego, Zwardoniu, Br. Czecha, Hali Szrenickiej.

Turystyczne wczasy narciarskie polegać będą na wycieczkach-wędrówkach od schroniska do schroniska; obozy narciarskie — na pobycie 14-dniowym w jednym z obiektów turystycznych.

Wacław Domański



Przed schroniskiem, stanowiącym ośrodek wycieczek.



Sypialnia w schronisku w Kampinosie.

SCHRONISKO PTTK W KAMPINOSIE

Schronisko PTTK w Kampinosie z wielu względów zasługuje na uznanie. Jasne, schludne salki, wygodne łóżka, czysta pościel i wreszcie skromny, ale miły hall stanowiący zarazem świetlicę — oto jego zalety.

Gorzej przedstawia się sytuacja od strony zaplecza. Przede wszystkim brak jest dobrze ogrzanej umywalni. Obecnie zgrzani i spoceni turyści i uczest-

nicy rańców, często urządzanych do Kampinosu, muszą myć się w zimnej, przewiewnej, ciasnej i ciemnej sieni kuchennej.

Kuchnia, choć duża i wygodna, umieszczona jest w złym miejscu. Należało ją usytuować raczej w sąsiedztwie hallu-sświetlicy, który w godzinach posiłków można by wykorzystać jako jadalnię.

Bydunek schroniska PTTK w Kampinosie jest odbudowanym

zabytkowym dworkiem. Przy tej odbudowie nie zadano sobie jednak trudu, aby na nowo zaprojektować wnętrza i przystosować je do nowego przeznaczenia. Wartoby więc, aby Zarząd Urządzeń Turystycznych w Warszawie pomyślał o pełnym przystosowaniu schroniska w Kampinosie do jego obecnego przeznaczenia, a tym samym — o wygodzie turystów, licznie z niego korzystających.

K.

Zdjęcia: Andrzej Koźmiński

PRENUMERATA „STOLICY“

Stałe otrzymywanie „Stolicy“ jedynie może zapewnić prenumerata pocztowa.

Do dnia 10 grudnia br. wszystkie urzędy pocztowe i listonosze przyjmują prenumeratę „Stolicy“ na miesiąc styczeń (4,40 zł). Prenumeratę „Stolicy“ za granicę przyjmuje PPK „Ruch“, Sekcja Eksportu, Warszawa, aleje Jerozolimskie 119, 805-05. S-B-40825

„STOLICA“ — warszawski tygodnik ilustrowany. Redakcja: W-wa, ul. Chocimska 31. Telefony: redaktor naczelny i sekretariat: 408-67; sekr. redakcji i red. działów: 413-58. Administracja: ul. Chocimska 33, tel. 415-01. Redaguje — Zespół. Redaktor naczelny: Dobrosław Kobielski. Wydawca: Naczelna Rada Odbudowy m. st. Warszawy. Redaktor naczelny i sekretarz redakcji przyjmują codziennie prócz sobót w godzinach 10—12. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Druk. Zakłady Drukarskie i Włókielodrukowe. RSW „Prasa“, ul. Marszałkowska 3/5.



Wędrowki po Muzeum Narodowym (50)



„Odnosimy wrażenie, jak byśmy oglądali scenę teatru, na której ustawiono dekoracje, wyobrażające ruiny miasta... Mamy do czynienia z romantycznym kultem przemijania ludzkich pomników i wielkości ziemskiej sławy...“ Na zdjęciu: część środkowa obrazu Desiderio Monsu.

DESIDERIO MONSU: KRAJOBRAZ Z RUINAMI MIASTA

Jednym z bardziej niezwykłych obrazów galerii Malarstwa Obcego Muzeum Narodowego w Warszawie jest niewielki pejzaż, określony jako dzieło Desiderio Monsu.

Przeciętnemu widzowi niewiele mówi to nazwisko. W istocie, artysta należy do najbardziej zagadkowych malarzy, jakich zna historia sztuki. Obrazek nasz dobrze reprezentuje jego malarstwo: jest to miasto, ale fantastyczne, leżące w ruinie. Wokół opustoszałego prawie placu wznoszą się wspaniałe zwaliska monumentalnej architektury. Późnogotyckie wieżyce, zwalona częściowo, nieprawdopodobna nawa ogromnego kościoła czy pałacu, posągi stojące jeszcze lub roztrzaskane w kawały, zaścielające ziemię bryłami marmuru, gotycki słup jak pomnik wznoszący się na pierwszym planie — składają się na niezwykłą scenerię, odtworzoną przez malarza.

Równie dziwny jest nastrój, panujący w obrazie. Nad ruinami szybko przepływają rozdarte chmury; zielony koloryt architektury kontrastuje z niesamowitym, żółtym światłem, które jarzy się w niebie, spoza obłoków.

Odnosimy wrażenie, jakbyśmy oglądali scenę teatru, na której ustawiono dekoracje, wyobrażające ruiny miasta. Dramatyczny nastrój katastrofy przypomina znane nam momenty ciszy, pełne grozy, przeżywane w okresach wojen i kataklizmów. W powietrzu jakby dymy unoszą się ze zwalisk. Żółta poświa-

ta — to może łuny dalekich pożarów? Ale samotni wędrowcy, którzy oglądają ruiny, przypominają, że mamy do czynienia z romantycznym kultem przemijania ludzkich pomników i wielkości ziemskiej sławy. Jak u wielu malarzy włoskich XVII, a zwłaszcza XVIII wieku, tak i tutaj występuje fantastyczne i romantyczne traktowanie pejzażu, a ruin — w szczególności.

Autor naszego obrazka jest zresztą jednym z pierwszych malarzy, wprowadzających romantykę ruin do sztuki. Działał bowiem w początkach XVII wieku (zbliżony do naszego pejzaż w Londynie datowany jest rokiem 1623). Jest on w tym czasie prawie zupełnie odosobniony, zwłaszcza w sztuce włoskiej. Nie wiele o nim wiemy. Nazwisko jego, Desiderio Monsu, dało podstawę do przypuszczenia, że to Francuz (Monsu byłoby zniekształconym Monsieur, Desiderio oznaczałoby nazwisko Didier). Inni sądzą, że enigmatyczny malarz jest identyczny z włoskim grafikiem Francesco Desiderio da Pistoja.

Tajemnica niezwykłego mistrza nie jest jeszcze wyjaśniona. Nie zmniejsza to uroku jego obrazów, ale utrudnia ich interpretację. Co skierowało uwagę artysty na temat tak rzadki? Czemu przypisać zamiłowanie w formach gotyckiej architektury?

Miejmy nadzieję, że historia sztuki kiedyś odpowie na te pytania.

J. B.

